

**STANISŁAW
IGNACY
WITKIEWICZ**

**DZIEŁA
ZEBRANE**

WYDANIE KRYTYCZNE ZE WSTĘPEM

JANA BŁOŃSKIEGO

KOMITET REDAKCYJNY

PRZEWODNICZĄCY
JANUSZ DEGLER

BOHDAN MICHAŁSKI
LECH SOKÓŁ

**STANISŁAW
IGNACY
WITKIEWICZ**

VARIA

OPRACOWAŁ
JANUSZ DEGLER

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
WARSZAWA
2019

O DANDYZMIE ZAKOPIAŃSKIM

Ublagany przez Naczelnego i Odpowiedzialnego Redaktora, obejmującego niniejszy artykuł organu¹, zdecydowałem się anonsować długo trzymaną przeze mnie w tajemnicy definicję zakopiańskiego dandyzmu.

Dla umysłu wyćwiczonego tak bardzo w czystej dialektyce jak mój umysł, a nawet dla umysłów względnie ciemnych, definicja ta nie przedstawia żadnych poważniejszych trudności. Jeżeli dotychczas nie podałem jej do wiadomości ogółu, to nie z powodu trudności właśnie, tylko dla pewnych względów ogólniejszych, o których na razie przemilczę z powodów łatwo zrozumiałych. „Jestem człowiek zgodny i nie lubię się kłócić”, rzekł kiedyś Izrael Hands i celnym strzałem w ucho położył O'Briena na miejscu².

Uwaga! Puszczam się. „C'est le privilège d'un vrai génie et surtout d'un génie, qui ouvre une carrière, de faire impunément des grandes fautes”³. „Honni soit”⁴, kto pomyślał: megaloman. Zresztą megalomania idzie zawsze w parze z mikromanią, tak jak sadyzm (passez moi l'expression, jak na Zakopane, vraiment trop grotesque⁵) z masochizmem. Z drugiej strony „there is no beauty without some strangeness in its proportions”⁶, ale znowu „ludzie w trumnach zyskują tak jak obrazy w ramach”⁷.

* Malesherbes.

** Bacon.

*** Witkacy.

Wybaczcie mi, o ludzie prości, te cytaty w obcych językach. Ale chciałbym, żebyście nie tylko wy, krwawi pracownicy aż nadto znudzonych obszarów dni powszednich, zrozumieli rzucone tu mimochodem myśli; chciałbym, aby promień mojej ogólnoludzkiej perspektywy padł też między zwoje mózgow przedstawicieli naszej arystokracji i pobudził ich subtelne, ale (excusez du peu*) leniwe gangliony do szybszych drgawek i wzajemnych oddziaływań.

A więc, puszczam się jeszcze więcej: warto by wpoić w społeczeństwo nasze choć trochę zdolności rozróżniania genetycznego porządku rzeczy i hierarchicznych kondygnacji, niepodlegających genetycznemu wyjaśnieniu. Tak w sferze czystej Metafizyki, jak i w życiu codziennym dałoby to niesłychanie znakomite rezultaty i przyczyniłoby się do zmniejszenia się intensywności jałowych sporów, które tyle sił zabierają naszemu wycieńczonemu zbiorowemu organizmowi. Ale trudno – „jetez des pois contre une muraille”⁷, jak mówią Francuzi, ci jedyni, według teorii Boya, głębcocy ludzkie na naszej, pod każdym względem zdystansowanej przez inne, planecie**. Nie myślcie państwo, że silę się na dowcip. Jestem ponury jak pępek Annamity⁹.

Jam rozmiętosił ten problem w przed-wieku
I smutny jestem jak pępek w człowieku***.

A więc przystąpmy do rzeczy:

W swoim genialnym eseju pt. *Du dandysme et de G. Brummell* Barbej Dorewili¹⁰ twierdzi, że dandyzm polega na tym, aby kosztem nawet własnej chwilowej nieprzyjemności zdziwiać innych i móc to zdziwienie przerzucić jak złośliwy

* Świadomie nie à propos użyte.

** Patrz dzieła Arrheniusa, który podobno rozpił się już definitywnie i na dobre⁸.

*** Tak rzekł jakiś wieszcz i miał rację. Oczywiście, nie ma tu mowy o „pępku metafizycznym”.



8. Stanisław Ignacy Witkiewicz i Tymon Niesiołowski w pracowni Teodora Axentowicza, przed 1914

nowotwór na mózgi tych innych w ten sposób, iżby samo to zdziwienie nad czysto zewnętrzną niespodzianką chwili stało się chwilowym prawem danego układu. Jest to jasne jak byk i powiedzmy otwarcie, banalne. Mieliśmy już swoich brummelków i cóż z tego? Pytam się, co z tego??

Zadziwiać kogoś, nawet przy założeniu, że ten ktoś jest osobnikiem dość skomplikowanym, jest rzeczą zbyt łatwą dla prawdziwego zakopiańczyka. On przeszedł tę fazę jeszcze w kolebce, a nawet powiedzmy szczerze: w okresie embryonalnym swego istnienia.

Zakopiański dandys gardzi tak nędznym zajęciem, jak zadziwianie innych: zostawia to różnym przyjemniaczkom, migdałącym się przy kawiarnianych stolikach z kobietonami godnymi ich prymitywnych, psychicznych rozwyrzeń. – **DANDYS ZAKOPIAŃSKI DAŻY PRZEDE WSZYSTKIM, ABY ZADZIWIĆ SIEBIE**, a reszta – zdziwienie tych drugich – jest tylko drugorzędnym skutkiem, wtórnym procesem, refleksem, który nawet niekoniecznie musi być funkcjonalnym związkiem związanym z pierwszą fazą zjawiska. Oto jest ta definicja, którą pod wpływem szalonych wprost błagań i zaklęć Redaktora zdecydowałem się wypuścić z tajemniczych gąszcz mego umysłu pod ciśnieniem stu tysięcy atmosfer zakładu Stanisława Karpowicza¹¹ o dwunastej w nocy i z siłą, która kosztowałaby pięćset słoni parowych, chcących wykarzcować dwieście hektarów suchej dżungli pod plantację kawy.

Trudność sformułowania jest tu oczywiście niczym. Ale kto zapłaci mi za trud poczęcia tej gigantycznej koncepcji, kto uspokoi moją histeryczną żonę, kto wyleczy moich sześciorgo niemowląt, konających z głodu, szkarlatyny i chronicznego zatrucia zakopianiną? Proszę o urządzenie wieczorku na moje cele prywatne, inaczej zdechnę z całą rodziną. Więcej nie myślę się nad tym rozwodzić.

A więc wróćmy do rzeczy:

Zadziwiać siebie wcale nie jest tak łatwym, jakby się to zdawało. Jest to problemat podobny do następującego:

„Ze wszystkiego można zrobić złoto, ale nie trzeba myśleć przy tym o krokodylu”. Proszę spróbować nie myśleć. Na to, aby siebie zadziwić, trzeba wprzód obmyślić to, czym się chce tego dokonać. A z chwilą kiedy się obmyśli, nie może być mowy o niespodziance, a więc o zdziwieniu, którego elementem zasadniczym jest właśnie niespodzianka; jest to tzw. „dylemat burzący”, sprzeczność sama w sobie, czyli autokoprofagia.

Ale prawdziwy zakopiańczyk znajdzie sposób na wszystko. Czyny jego muszą iść przed myślami. Jest to to, co określiliśmy kiedyś pojęciem „wolty psychicznej”¹². Musimy stwierdzić, że wprowadzenie tego niezwykle relewantnego pojęcia nie wywołało żadnego echa w kołach fachowców – zwykła w naszym społeczeństwie inercja wobec krajowych nowalij – trudno –

Flaczkami diament szlifować, próżne to zadanie,
Prędzej kubista polski sam sobą się stanie.

Ale wróćmy do rzeczy: Wzorem dla zakopiańskiego dandysa będą kobiety w ogóle. Dandyzm zakopiański z założenia musi być pozbawionym pierwiastka męskiego, czyli tzw. męskich pierwocin*; musi być, o ile ma być w ogóle, dandyzmem zefeminowanym. Każda prawdziwa kobieta, niezależnie na jakiej półkuli się zrodziła i jakie pół-kule są jej życiowym przydziałem, jest w połowie, przez samą swą kobietowość, pewnym rodzajem zakopiańskiego dandysa. Czyny jej idą zawsze przed myślami i tym zadziwia i niepokoi te pozbawione instynktu, mądre (a jednak jak głupie, jak w pewnym sensie beznadziejnie głupie), włochate i zarozumiałe stworzenia, jakimi są bezsprzecznie wszystkie samce wszystkich rodzajów Istnień Poszczególnych, zaczynając od wymoczków, a kończąc „faute de mieux” na nas samych.

* Patrz dzieła Jarosława Iwaszkiewicza.

Tylko jedna rzecz: Kobieta w ogóle postępuje jak zakopiański dandy, ale ponieważ dandyzm zakopiański nie jest zewnętrznym, tylko, że tak powiemy, jest dandyzmem internalnym (proszę nie pomyślać terminu tego z dandyzmem infernalnym, który po zgonie tzw. Młodej «och, jakże już starej» Polski, zamarł u nas na szczęście zupełnie), nie możemy go utożsamić z kobietowością w ogóle, ponieważ kobietom brak tego organu, przy pomocy którego mogłyby się dziwić same nad sobą: brak im rozumu, czyli duszy, jak by powiedział Mahomet. One pozostawiają zdziwienie wspomnianym wyżej samcom – i mają rację. Zadziwić nie mogą tylko prawdziwego zakopiańskiego dandysa, bo ten dwupłciowy psychicznie potwór jest już dostatecznie zdziwiony własnym swym postępowaniem, aby móc reagować na te wszystkie, tak niebezpieczne dla zwykłych samców, kobiece plugawostki, nieoczekiwane smutnostki i wesołostki, czyli ogólnie: nieoczekiwaności.

Dlatego to zakopiańscy dandysi tak są niebezpieczni dla kobiet, a nawet dla dam z tzw. „towarzystwa” i dlatego to z całego serca ostrzegamy tu przed nimi piękne, a nawet demoniczne ceperki ze wszystkich dzielnic Polski, a nawet z zagranicy.

Ileż młodych dusz zwarzonych zostało przedwcześnie, ile starzejących się demonów radykalnie musiało zmienić swe doskonałe dla dolin metody.

Czy są zakopiańskie dandyski, jest pytaniem, na które nie możemy tu dać odpowiedzi. Na razie wydaje się to tak niemożliwym, jak percypowanie wprost brył czterowymiarowych. Może, może po wiekach zakopiańskiej kultury wytworzy się typ takich nadkobietonów n-tej klasy. Obecnie istnieją one w postaci fantastycznych kompleksów jakości w duszach zakopiańskich dandysów jako „idealne byty”, z tą różnicą, że nawet żadna definicja im nie odpowiada, czym nie mogą się poszczycić najbardziej nawet oderwane dotychczas stworzone pojęcia. Pojęcie liczby urojonej, pierwiastek



9. Józef Głogowski, „Wujcio z Kalifornii” – Stanisław Ignacy Witkiewicz, Zakopane 1931

z minus 1 wydaje się czymś bardzo realnym, jako definicja choćby, wobec pojęcia zakopiańskiej dandyski.

Dlatego to zakopiańscy dandysi błąkają się znudzeni, nienasyчени i bladzi po Krupówkach, nie znajdując w żadnych flirtach, a nawet romansach, spełnienia się ich transcendentalnych psychicznych pożądań. A w chwili rozpaczyny zadawalniają się zwykłymi kobietami lub kobietonami, które po tym wszystkim równie cierpią, jak oni przedtem i potem.

Bo któż w sercu zwykłej damy zastąpi piekielne przeżycia z zakopiańskim Don Żuanem lub nawet zwykłym Żuanem, połączonym z prawdziwym zakopiańskim dandysem. Nikt – chyba sam Bafomet¹³ albo oddanie się jakiejś tajemnej nauce w rodzaju teozofii lub, co gorsze, zwykłej TEOZOSI, albo wiedzy o pukających stolikach*.

Co do form zewnętrznych zakopiańskiego dandyzmu, wypowiemy się w numerach następnych, o ile Redaktor dostatecznie silnie będzie nas o to błagał.

*Genezyp Kapen***¹⁵

* Patrz: *Allgemeine Gespenstertheorie* Crófa von Witkaczy¹⁴.

** Genezyp Kapen = Genezipe Quapêne = Je ne zipe qu'a peine = ledwo zipię. A jednak zipię całą parą i będąc zipać tak do śmierci.

POSZUKUJĘ CZŁOWIEKA...

Poszukuję człowieka (względnie konsorcjum) z grubymi pieniędzmi, który(e) by chciał(o) założyć pismo artystyczno-krytyczne pod moją redakcją, w związku z ludźmi, których ja bym wybrał. Kierunek wyznaczony byłby przez rzeczową polemikę wszystkich ze wszystkimi. Na razie za wskaźnik kierunku mogłyby służyć moje prace teoretyczne: *Nowe formy*

w malarstwie¹, *Szkice estetyczne*², *Teatr*³. Do administracji nie wtrącałbym się zupełnie i ograniczyłbym się tylko do dostarczania materiału, w czym musiałbym mieć zupełną swobodę. Ja i inni współpracownicy byłiby płatni od wiersza. Miejsce wydawania obojętne. Proszę inne pisma o przedrukowanie tej odezwy⁴.

Stanisław Ignacy Witkiewicz



10. Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Autoportret „Zdrowo Abstralijski”*

WRAŻENIA ZE SPÓŹNIONEGO NIESTETY PIERWSZEGO LOTU AEROPLANEM

Należę do tego typu osobników, u których obawa przestrzeni potęguje się z wiekiem. Z początku odczuwałem ją tylko na balkonach i wieżach, a w górach za to mogłem znosić dowolne ekspozycje (np. ganek) bez żadnego wrażenia, oczywiście na szczytach łatwiejszych. Kiedy po wojnie powróciłem do Zakopanego, okazało się, że wycieczki nawet na łatwe technicznie szczyty stały się dla mnie zupełnie niemożliwe. Pojęcia: dołu i góry, straciły dla mnie sens określony; stawy np. widziane ze szczytu zdawały się leżeć na jakimś „suficie”, a w całym ciele uczuwałem fizyczne wprost ciągnięcie w kierunku głowy, które groziło najwyraźniej skoczeniem w przepaść. Odtąd chodziłem już tylko dolinami poprzez zupełnie łatwe przełęcze. Ciekawe jest to, że czasami mogłem patrzeć w przepaść wprost, ale o kilka kroków od grani doznawałem nieprzezwyciężonego zawrotu głowy. Polega to wrażenie zdaje się na obecności pierwszego planu, wobec którego dalsze horyzonty zdają się jeszcze bardziej przepaściste i „pociągające”.

Kiedy zrobiono na Kasprowy Szczyt kolej linową¹ (początkowo byłem przeciwnikiem tej instytucji), powiedziałem sobie, że nigdy nią nie pojedę. Nie wyobrażałem sobie po prostu dla mnie możliwości wiszenia nad trzystumetrową przepaścią, i to w dodatku przepaścią „ruchomą”, z zachodzącymi na siebie w miarę jazdy perspektywami w dół. Namówiony przez entuzjastów kolejki, przemogłem się i po-

jechałem. I „o dziwo!”, jak by powiedział poeta, nie czułem najmniejszego nawet nieprzyjemnego wrażenia. Patrzyłem na dolinę Kasprową tak prawie jak z krzesła na podłogę, a przerażająca w wyobraźni ruchomość przepaści zdawała się w istocie łagodzić jej wciągającą demoniczną potęgę. Odtąd stałem się wielbicielem kolejki, tym bardziej że daje ona ludziom, którzy by normalnie poza Kuźnice wyjść nie mogli, możliwość podziwiania niesamowitej piękności widoku na Krywań, na zaczarowane ogrody Doliny Cichej i Gąsienicowe Stawki z góry, mieniające się wszystkimi odcieniami pawich piór i skrzydeł tropikalnych motyli.

Zapewniano mnie, że w aeroplanie tak samo nie odczuwa się obawy przestrzeni jak w wagoniku kolejki. Nie mogłem temu uwierzyć. Patrząc z ziemi na latające maszyny i utożsamiając się z siedzącymi w nich ludźmi, doznawałem już wtedy tego okropnego poczucia bezkierunkowości, amorficzności jakby przestrzeni, które wystąpiło u mnie zaraz po pierwszej powojennej wycieczce na Granaty. Każdy biernie nawet latający osobnik, nie mówiąc już o pilotach robiących akrobacje i długodystansowe loty, zdawał mi się jakimś bohaterem z bajki, o niewyobrażalnej dla mnie, ziemskiego pełzaka, psychicznej strukturze.

Ale ostatecznie doszedłem do przekonania, że zakończyć życie nie przemógłszy podłego strachu przestrzeni i nie spróbowawszy czegoś tak niezwykłego jak latanie byłoby wprost świństwem wobec samego siebie. Jako też przemogłem się i poleciałem na próbę z Katowic do Warszawy i jestem wprost zachwycony tym sposobem komunikacji².

Miałem pewną treść przed samym wejściem do maszyny. Ale uczucie to zniknęło już, gdy usiadłem i spojrzałem na świat przez okienko: znalazłem się odgradzony od rzeczywistości w izolowanym, zamkniętym układzie i trzeba przyznać, że wrażenie to było raczej dodatnie. A gdy samolot odbił się od ziemi³, która zaczęła się powoli zapadać, poczułem się tak spokojnym, jak w wagonie kolei czy w tramwaju.

Jeśli chodzi o wrażenia pejzażowe, to w pierwszej chwili sytuacja jest zabawna, ale po pewnym czasie poczucie nowości ustępuje miejsca pewnej nudzie. Możliwe, że przelot nad górami dostarczyłby bardziej urozmaiconych przeżyć, bo z równiny mazowieckiej nawet w pociągu przy różnorodności planów trudno wyciągnąć coś istotnego, jeśli chodzi o piękno natury. Powoli przesuwająca się mapa w związku z nieodczuwaniem szybkości zaczyna szybko nużyć i mimo nowości całokształtu przeżyć miałyby się ochotę na lekturę tzw. „wagonową”.

Pogoda była wspaniała, „dziury” powietrzne minimalne, a chwanie się maszyny na boki tak nieznaczne, że ja, który na morzu cierpię już przy niewielkiej względnie fali, nie uczułem ani razu najmniejszych nawet nudności. W pierwszej chwili lekkie nawet zapadanie się daje pewną niemiłą emocję, jak na początku jazdy szybką kopalnianą windą. Ale po pewnym czasie następuje zupełne przyzwyczajenie na tle zaufania w wyciągającą siłę motoru i sterów korygujących natychmiast każde obniżenie lotu. Przypuszczam, że przy gorszej pogodzie wrażenia te są o wiele silniejsze, ale to już jest kwestią stopnia, a nie różnicy jakościowej.

Wywrócenie się horyzontu przy zakręcaniu przed lądowaniem z szachownicy pół jakby „na ścianie”, przy złudzeniu własnej nieruchomości, daje wrażenie zupełnie specjalne, z niczym „ziemskim” nieporównywalne. Pojawiający się świetlisty napis: „zapiąć pasy i zgasić papierosy”, przypomina groźne opowiadania o przymusowych lądowaniach. Nikt jednak pasów nie zapina, ufając absolutnie, że lądowanie odbędzie się bez wstrząsów. Jako też samolot łapie prawie że gładko ziemię i toczy się już trybem samochodowym ku hangarom; ma się wrażenie, że czyni to z pewną pogardą dla tego prymitywnego ziemskiego sposobu przemieszczania się w przestrzeni. Mimo wszystkich pięknych wrażeń lotu dla pełzaka, który pierwszy raz oderwał się od ziemi, moment ten nie jest pozbawiony – muszę to przyznać – pewnego przyjemnego odniesamowienia sytuacji.

Za chwilę jazda autobusem ku miastu i normalny wygląd ziemskiej rzeczywistości sprawiają złudzenie, że wszystko, co się działo przed chwilą, było jakąś wizją nie z tego świata, że niemożliwym jest, że tylko co mijaliśmy na jednym poziomie pierzasto-kłębiaste letnie obłoki na wysokość pięciuset metrów. Na pierwszy raz dobra i ta wysokość, ale nawet u mnie, typowego „zawrotowca”, pojawia się tęsknota za jeszcze wyższymi regionami atmosfery.

Rzecz dziwna, że gdy w samolocie, w przeciwieństwie do zupełnego braku pierwszego planu w kolejce, mogącego posłużyć dla oceny odległości, widzi się skrzydło tuż obok na tle dalekiej mapy krajobrazu, gdzie krowy są wielkości much oglądanych na odległość dwóch metrów, nawet to w sprzeczności z wrażeniami górskimi nie wywołuje żadnych przykrych sytuacji.

Punktualność przybycia była absolutna, jak u najdokładniejszego pociągu.

Tak więc jeśli ktoś czujący tak silną obawę przestrzeni jak ja nie doznał dosłownie żadnych emocji w tym rodzaju, poza stanami wywołanymi niezwykłością sytuacji w ogóle, to można ten sposób zmiany miejsca polecić nawet osobom wyjątkowo nerwowym i wrażliwym.

Przypuszczam tylko, że następne loty pozbawione jakichś specjalnych wrażeń atmosferycznych, na tle pewnej nudy spłaszczonego na mapę krajobrazu, mogą być nieco monotonne na tle przyzwyczajenia się do samego faktu lecenia, który za pierwszym razem dostarcza tylu nieporównywalnych z niczym wrażeń. Ale jest na to sposób: to lektura, szczególnie filozoficzna, którą staram się propagować przy każdej sposobności, na razie niestety bez wielkiego skutku.

29 VI 1938 r.